POLISH WEEKLY
OBYWATEL
THE CITIZEN
OBYWATEL'S BUILDING
BATHGATE AVE
NY. CITY

OBYWATEL
THE CITIZEN

Rok II. New York, 4 Kwietnia 1896 Nr. 15.

ZE SWIATA.

‡ Petersburg. Car Mikołaj II przyjmował w audyencyi w zimowym pałacu Kenana baszę, tureckiego po-łą w Petersburgu. Poseł krótko przedtem wręczył rosyjskiemu ministrowi spraw zewnętrznych księciu Łabanow-Rostowskiemu. insygnia do orderu Nichan-Imtiaz jako prezent od sułtana.

‡ Izba niższa szwedzkiego parlamentu uchwaliła 5,000,000 koron na powiększenie floty. Izba wyższa uchwaliła na ten cel $11,780,000.

‡ Car i caryca po ukończeniu ceremonij koronacyjnych w Moskwie, zwiedzą niektóre europejskie dwory.

‡ Chiny podobno nadały Rosyi koncesyą na budowę kolei przez Mandżuryę do Port Artur.

‡ Książę Ferdynand bulgarski przybył do Konstantinopola, aby hołdować sultanowi.

‡ Cesarz Wilhelm wyszle na koronacyą cara swego brata księcia Henryka.

‡ Wicekról Li Hung Chang wyjechał z Szangaju, w Chinach, do Rosyi na koronacyą cara.

‡ Stary Bismarck ostrzega Niemców przed przymierzem z Anglią. Radzi im trzymać się Rosyi.

‡ Berim. Zanosi się tu na generalny strajk cygarników, żądających podwyższenia płacy a skrócenia czasu pracy.

‡ We Wiedniu zapadł się tunel kolei ulicznej przy Burggasse, przyczem dwóch robotników straciło życie.

‡ W Dundalk, w Irlandyi, zbuntowali się żołnierze 13 pułku huzarów. Kilkunastn aresztowano.

„Obywatel”
(The Citizen.)
ISSUED EVERY SATURDAY.

Louis Niemo, (Ludwik Niemojowski) Pub.
2081 BATHGATE AVE., NEW YORK.

SUBSCRIPTION:
ONE YEAR $2.00 IN ADVANCE.
Single Copy 5 Cents.

Entered at the New York Post Office as second Class Mail Matter.

RATES OF ADVERTISEMET:

One inche for one year	$20.00
One inche for six months	$10.00
One inche for three months	$ 6.00
One inche once	$ 1.00

One line once 10 cents.
(Nonpareil measurement, 12 lines to one inche).

Prenumeratę roczną, półroczną lub kwartalną należy nadsełać w liście registrowanym, przez „Money Order”, express lub w 2 centowych znaczkach pocztowych pod adresem:

Louis Niemo, Publisher
2081 Bathgate Ave., New York.

KRONICZKA Z NEW YORKU I OKOLICY.

* Dochodzą do nas skargi na jeden z „polskich” banków który nie wiele przebiera w środkach aby kilka dolarów od łatwowiernych wyłudzić. Po sprawdzeniu zarzutów nie omieszkamy ostrzedz publiczność.

* Nadesłano przed chwilą do redakcji „Obywatela” książkę pod tytułem: „Pamiętniki Seweryna Gąseckiego, powstańca z roku 1863,4” Spisał podług jego opowiadania Zygmunt Słupski. Książka ta wydana nakładem W. Simona w Poznaniu, przedstawia się zewnętrznie nader ponętnie i choć nie mieliśmy jeszcze czasu przeczytać a dlatego sądu wydać o treści nie możemy, nie wątpimy, że „Pamiętniki” znajdą w New Yorku wielu czytelników nietylko dla tego, że literatura nasza nie obfituje we wspomnienia z owej epoki ale i dla tego, że bohater „Pamiętników” p. Gąsecki, jest prawie wszystkim nowojorczanom znany osbiście.

* Teatr polski z Galicyi nie przybędzie do nas wcześniej niż w późnej jesieni.

* Opinia „Gazetki” już wyrobiona, kogo Lewinsky, Kulakowski & Co. pochwalą to pewno nie wart, — a kogo zganią to bezwątpienia — zacna osoba. Napad niegodziwy na powszechnie znanego ob. Wojtaszka znów te twierdzenia wzmacnia.

* Polski adwokat, pan R. Kopelman do wspólki z jednym z najgłośniejszych mecenasów podjął się przeprowadzić w sądach amerykańskich sprawę potomków K. Pułaskiego przeciw rządowi Stanów Zjednoczonych.

* Na żądanie nasze otrzymaliśmy od kolei „Great Northon" kilkadziesiąt broszurek o koloniach polskich w Minnesocie. Dla dogodności czytelników interesujących się tym przedmiotem zostawiemy po kilkanaście w kawiarni p. Romanowskiego i w zakładzie fryzyerskim pana Słomczyńskiego.

* Ekspedyujemy „Obywalela jak najregularniej. Kto nie otrzyma numeru na czas powinien nas natychmiast zawiadomić a podamy skargę na pocztę i po sprawdzeniu wyślemy numer. Poczta nie przyjmuje skarg po paru tygodniach podanych, i my więc takowych uwzględniać nie będziemy.

* „Raines bill" przeszedł i między wielu innemi zmianami „salonowemi" zaznaczyć wypada najsmutniejszą dla pewnej cząstki naszego społeczeństwa tj. zniesienie tej czysto amerykańskiej instytucji „free lunch".

Cóż poczną rozbitki byłego „klubu mijlonerów", którego pan Bajerman był kiedyś prezesem, a nieodżałowanej pamięci prof. Hoffman vice-prezesem.

A propos klubu miljonerów musimy objaśnić czytelników naszych z życiem naszego miasta, że była to jedyna swego rodzaju organizacja. Kassyera naprzykład nie było, gdyż jak długo klub istniał szeląg nawet do kassy nie wpłynął. Wstęp był bezpłatny, opłaty miesięczne.... żadne. Zbierano się byle gdzie, spano — gdzie się udało, a jadano... „free lunch" w salonach.

Sekretarz obowiązany był prowadzić rejestr salonów gdzie dawano dobre lunch'e. Członek, który pracował — bywał kilkakrotnie ostrzegany, a jeżeli pracę nie porzucił, — wykluczano go z pogardą z klubu miljonerów.

* Zwracamy uwagę naszych czytelników na ogłoszenie p. Raganowicza.

Myśl sprzedawania drobnych, kilkoakrowych farm w pobliżu naszego miasta jest bardzo szczęśliwą i nie wątpimy, że wielu skorzysta z nadarzającej się sposobności.

* Przy zamykaniu formy otrzymaliśmy jeszcze jedną korespondencję o „Gazecie" (już o listach nie wspominamy bo tych otrzymujemy stosy całe) od komitetu Zj. P. przy kościele Śgo Stanisława w New Yorku.

Mocno żałujemy, że numer już zapełniony i dlatego komunikatu umieścić dosłownie nie mogliśmy.

Komitet w obszernej korespondencji zaznacza niecne oszczerstwa i paszkwile „Gazety” od czasu gdy towarzystwo kilkuset głosami odrzuciło to pismo jako swój organ. „Na zarzuty i napaści pana Lewynskiego” kończy komitet „nie będziemy więcej odpowiadać choćby nas nie wiem jakimi paszkwilami obrzucał. Człowiek to tak brudny, że jedynie na pogardę zasługuje i protestujemy w imieniu kilkuset członków naszego towarzystwa, aby uzurpacyjnie nazwy polaka nie nosił”.

* Posiedzenie mięsięczne Tow. Gimn. „Sokòł” odbędzie się w poniedziałek 6go kwietnia br. Wszyscy członkowie winni się stawić.

Perth Amboy, N. J.

* W Niedzielę Wielkanocną zostanie od-łonięty nowy pomnik Kościuszki, bardzo gustowny, zastępując miejsce dawniejszego, skromnego. Jest to zasługą starań Wlb. ks. Szymanowskiego, któremu jedna z tutejszych fabryk terrakoty, wspomniany pomnik specjalnie wykonany ofiarowała. Koszta ustawienia ponosi sam ks. Szymanowski.

* Tutejsze Towarz. „Oświata” wciąż wzrasta. Obecnie liczy już około 80 członków i posiada swoją własną bezpłatną czytelnię (66 Charles str.) obficie zaopatrzoną w książki, pisma polskie miejscowe i zagraniczne. Czytelnia otwarta co dzień od 7ej do 10ej wieczór, na brak uczęszczających uskarżać się nie można. W zeszłą niedzielę zebrała się znaczna liczba członków i członkin na towarzyską pogadankę, przeplataną śpiewem choralnym, odczytem próbą teatralną a nakoniec i piękną deklamacyą patryotyczną, wygłoszoną przez ob. Staniszewskiego, z talentem i uczuciem.

* Do szkoły polskiej przy kościele ś-go Szczepana uczęszcza obecnie 72 dzieci.

* Roboty idą słabo—dużo ludzi chodzi bez zajęcia, zwłaszcza „gryn-hornów”—Węgrów.

Zapaliłem lampę zgaszoną i począłem się przechadzać po pokoju, niezmiernie wzruszony, gdy wtem spostrzegłem coś dziwnego. Na podłodze leżał zgrabny, haftowany pantofelek, tak maleńki, że ledwie dziecięcia stopa ozuć go mogła. Niema tedy najmniejszej wątpliwości: ona mnie odwiedza, i dziś była a uciekając zgubiła pantofelek.

Wylałem na głowę dzban zimnej wody, aby się przekonać czy i teraz nie marzę? Pantofelek leżał na dawnem miejscu, nie zmienił ani włos pozycyi. Podjąłem corpus delicti zamknąłem go w biurku, nie byłem wszakże pewny, czy nie zniknie za chwilę.

Potem położyłem się i spałem dłużej niż zwykle a gdy się zbudziłem na nowo pobiegłem do biurka. Maleńki pantofelek leżał gdziem go położył, hafty, koronki, kokarda nie zmieniły barw, nie jestem więc fantastą, hallucynantem, czarodziejka jest żywą istotą.

Rozpocząłem na nowo dopytywania i poszukiwania. Dlaczego tak starannie się ukrywa? Mieszka w zamku, to pewno, ale gdzie mianowicie? Jakim sposobem komunikuje się z ludźmi? bo do zamku jedno wejście prowadzi: gdyby wychodziła, musiałbym ją zobaczyć.

Kilka dni strawiłem na rozpaczliwych, gorączkowych dochodzeniach i tym razem bez skutku: wyczerpały mnie one, zdenerwowały do tego stopnia, żem znów popadł w rozdrażnienie. Odbiegł mnie sen, apetyt, błąkałem się po zameczysku, czując, że umysł mój traci powoli równowagę. Nie, dłużej tu zostać niepodobna! Wyjadę choćby na kraniec świata—do Afryki, Australii, do bieguna północnego:

Zwołałem ludzi, oświadczyłem im, że opuszczam zamek stanowczo: będę się starał go sprzedać, do tego czasu p. Malcerowi powierzam zarząd całkowity.

Poczciwcy odeszli ze spuszczonemi głowami, tylko odźwierny pozostał; zapewne chce mi powiedzieć: „pan jest panem nawet w piekle!" Głupiec, ja tu czegoś innego dozna-

łem. Któż jednak określi zdziwienie moje, gdy odźwierny zbliżył się do mnie z pokorą, w rękę pocałował i rzekł:

— Panie, czemu nas opuszczasz? Czy panu ta biedna sierota stoi na zawadzie?

— Co to jest?!—zawołałem zdziwiony.—Mówisz do mnie zupełnie inaczej niż zwykle?

— Tak panie. Wyznam ci wszystko a wtedy to, czego dotąd nie rozumiałeś, stanie się dla ciebie jasnem i . . nie odjedziesz ztąd.

Pochwyciłem go za ręce, gwałtem usadowiłem w fotelu, on zaś rozpoczął opowiadanie.

V.

— Zmarły hrabia, człowiek niepokalanej prawości, niezwykłego serca, ożenił się w późnym już wieku z ubogą ale zacnego rodu szlachcianką. Zwiazek nie przypadł do smaku rodzinie hrabiego, która na jego majątek dybała. Wszelkiemi siłami starano się przeszkodzić małżeństwu, przekładano hrabiemu, że robi mezalians, że wstyd starożytnemu rodowi przynosi. Pan mój podszeptów chciwości nie słuchał, wrzeszcie rozgniewany zerwał z rodziną, zamknął się w zamku. Hrabina obdarzyła męża córką, lecz odumarła ją niebawem. Dziewczę wzrastało, Bóg jej nie poskąpił urody, niestety! nie mogła się nauczyć ludzkiej mowy, tylko śpiewała ciągle, jak śpiewa teraz. Nie jest głuchoniemą, słyszy najmniejszy szelest, rozumie co się do niej mówi i umie śpiewem, choć bez słów, wyrazić co myśli lub czuje. Gdy doszła lat dziesięciu, hrabia postanowił zabezpieczyć jej przyszłość. „Męża dla mego śpiewającego ptaszka nie znajdę—mówił do mnie —po mojej śmierci zostanie bez opieki. Znam rodzinę moją; choćbym pozostawił testament, potrafią go unieważnić, dziewczę zamkną w domu obłąkanych gdzie naprawdę może zwaryować, boć to kwiatek delikatny, uczuciowy, on potrzebuje serca a nie szorstkiego szpitalnego obejścia". I z tego powodu hrabia myśl dziwaczną powziął; zgromadził kilku

waryatów, pracował nad nimi, wreszcie—jak panu wiadomo—potrafił z nich zrobić ludzi spokojnych, wiernych i użytecznych. „Skoro im zapewnię dożywotnie mieszkanie—kombinował—żaden z moich spadkobierców nie będzie chciał tu rezydować; zamku nikt nie kupi ani wydzierżawi, bo ktòżby miał odwagę mieszkać z tylu waryatami? Córka moja wtedy będzie bezpieczna i swobodna; nikt jej nie skrzywdzi, nikt obłąkaną nie nazwie, będzie miała zamek cały do rozporządzenia."

Mnie jednemu hrabia powierzył tajemnicę, bo ja jeden pomiędzy przyboczną służbą waryatem nie byłem, ale naumyślnie udawałem formalnie obłąkanego.

Gdyś się pan tu sprowadził, mniemałem, iż miesiąca nie wytrzymasz; zamek jest tak zbudowany, że przez tajemny korytarz można dochodzić do wszystkich pokoi, nie otwierając drzwi; drogę tę zna tylko Viola.

— Więc imię jej Viola?—przerwałem odźwiernemu.

— Tak, panie. Tą drogą co wieczór schodzi na dziedziniec do mnie po żywność i przy tej sposobności ze zdziwieniem przekonałem się, że do pana, któryś ją niejako uwięził, niema żalu ani wstrętu. Przeciwnie, gdy o panu mówię wzdycha a niedawno dała mi do zrozumienia, że czuwa nad panem gdy uśniesz. Otóż dziewczę serdecznie się do pana przywiązało, gdybyś się oddalił, z żalu mogłaby dostać obłędu. Kilka dni temu przyszła do mnie przerażona, targała włosy, gdy się zaś uspokoiła powiedziała gestami, że—Boże odpuść dziecku niewinnemu ten grzech!—przed chwilą ośmieliła się pocałować pana. Nie opiszę, jak tkliwie dawała mi to do zrozumienia, a gdy się wyspowiadała, załamała ręce, padła na kolana, błagała abym prosił iżbyś się pan na nią nie gniewał.

— Znasz pan tajemnicę zamczyska—kończył wierny sługa—przebacz Violi, ona już nawet śpiewem nie będzie ci mącić spokoju... I jeszcze, racz panie wysłuchać prośby jednej: nie odjeżdżaj ztąd; myśmy cię pokochali, nikt z bie-

dnymi waryatami lepiej by obchodzić się nie potrafił. Gdyby dobra poszły w obce ręce, coby się z nimi stało?

— Bądź spokojny, poczciwcze, pozostanę—rzekłem.

— A jeżeli pan przypadkiem spotka Violę, chociaż wątpię czy kiedy się pokaże, obejdź się z nią z takim szacunkiem, jaki każdy szlachetny człowiek okazywać powinien dla nieszczęśliwej istoty.

Upewniłem go raz jeszcze że nie wyjadę, że się na Violę nie gniewam, że może sobie najswobodniej robić co jej się podoba, za co mi gorąco podziękował.

Przez dwa miesiące nie słyszałem śpiewu Violi; było mi na sercu tak ciężko, jak gdybym najukochańszą istotę stracił; tęschniłem za dziewczęciem, marzyłem o niem, ale trawiłem w sobie udręczenia. W tym czasie banda rozbójników poczęła niepokoić okolice. Sąsiedzi ostrzegali mnie, iżbym się miał na baczności, bo podobno na zamek napaść zamierzają, jam na upomnienia nie zważał, myśli moje i we dnie i w nocy kędyindziej bujały...

VI.

Pewnego razu siedziałem wieczorem przed kominkiem, zapatrzony w fantastyczny taniec płomieni, które chciwie lizały duże szczapy drzewa. Na dworze padał deszcz zmieszany ze śniegiem i wietrzysko szalało, jak zwykle w listopadzie. Nie słyszałem ani świstu wiatru, ani monotonnego uderzania kropel dżdżowych o szyby okien, bom myślał o czarodziejce mojej. Nagle z rozmarzenia wyrwały mnie okrzyki gwałtowne, wystrzały i ciężki łomot.

— Na pomoc! na pomoc!—wołał dobrze znajomy mi głos odźwiernego.

Zerwałem się z fotelu, pochwyciłem za rewolwery i wybiegłem do przedpokoju, lecz na drodze spotkałem dwóch zamaskowanych ludzi.

— Pieniądze albo życie!—wrzasnęli zoczywszy mnie.

W odpowiedzi strzeliłem dwukrotnie; jeden z napastników upadł, drugi podniósł strzelbę. W tej chwili usłyszałem, że do drugich drzwi sypialni dobijają się rozbójnicy; bez namysłu wróciłem, zaryglowałem się. Łotry w drzwiach jednych wyrąbali szczelinę, do drugich niebawem poczęli się dobijać siekierami; jeżeli się dostaną, będę zgubiony.

W tem zrobiło się ciemno w pokoju, kominek z ogniem znikł a na jego miejscu stała powiewna postać Violi; czarodzieika moja była blada, w ręku trzymała ślepą latarkę. Zbliżyła się do mnie szybko, pochwyciła za rękę, zaprowadziła do próżni po kominku pozostałej,i za pomocą osobliwej maszyneryi opuściliśmy się na dół, zupełnie jak aktorzy udający widma w teatrach.

Zrozumiałem teraz jaką drogą Viola do mnie przychodziła; kominek cały można było unosić do góry, pod nim znajdowały się schody, prowadzące na dół. Po chwili dostaliśmy się do tajemnego korytarza; tu Viola nacisnęła jakąś sprężynę, podłoga uniosła się z nami do góry i dostaliśmy się do pokoju, w którym, jak w mojej sypialni, znajdowało się równie tajemne wejście pod kominkiem.

Wydała mi się ta podróż dziwna snem; przed pięcioma minutami groziło mi niebezpieczeństwo śmierci, teraz byłem zupełnie bezpieczny w ustronnem zaciszu, które służyło Violi za mieszkanie. Obejrzawszy się, nie dostrzegłem jej; znikła jak widziadło senne. Jeszczem nie oprzytomniał, gdy z wieży zamkowej ozwały się dzwony, wzywając ratunku. Droga na wieżę była znajoma także jedynie Violi, nikt więc inny tylko ona poruszyła dzwony.

Co za szlachetne dziewczę! Gdy się dowiedziała, że życiu memu grozi niebezpieczeństwo, nie wahała się zdradzić pilnie strzeżonej tajemnicy aby mnie ocalić, potem dopiero dała znać mieszkańcom wioski, że rozbójnicy napadli na zamek.

Wieśniacy stawili się natychmiast, z czem kto mógł, rozpoczęła się z bandytami zacięta walka, którą dowodził

mój Nemrod; trwała nie dłużej nad godzinę a skończyła się zupełną porażką rozbójników. Łotry ratowali się ucieczką, nie zdążywszy zabrać dwóch śmiertelnie ranionych kamratów. Myśmy ponieśli stratę wielką: poczciwy odźwierny został zabity. Skoro ciało jego wniesiono do oświetlonego pokoju, będąca tam Viola wpadła w rozpacz; rzuciła się na kolana, objęła rękami zastygłe zwłoki i jęczała niby pisklę, któremu matkę zabito.

Podniosłem ją łagodnie, przycisnąłem do serca i przemówiłem jak mogłem najtkliwiej.

— Ja ci zastąpię poczciwego, odtąd będę się tobą opiekować jak ojciec, jak brat, i nikomu skrzywdzić nie pozwolę—tak mówiłem.

Spojrzała na mnie smętnemi oczyma, podała mi ręce, z pod powłoczystych rzęs spływały jej łzy obficie.

Zrozumiała mnie zatem, a kto ludzką mowę potrafi zrozumieć, ten jej się i nauczyć może.

* * *

Upłynął miesiąc; przez ten czas uczyłem Violę mówić i jestem przekonany, że praca moja pożądany skutek odniesie. Teraz uczę ją wyrazów, jakie wymawia kobieta, gdy składa przysięgę na miłość i wierność dozgonną; skoro je będzie wymawiać, zaprowadzę ją przed ołtarz, jako najukochańszą małżonkę.

KONIEC.

SACHEM.

(H. Sienkiewicza.)

W mieście Antylopie położonem nad rzeką tegoż nazwiska w stanie Texas, spieszył kto żyw na przedstawienie. Zajęcie mieszkańców było tem większe, że od czasu założenia miasta, pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek, minstrelli i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nietylko nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki na tem samem miejscu, na którym stoi Antylopa wznosiła się osada indyjska zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Wężów, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim, Berlinowi, Gruendenau i Harmonii, że osadnicy dłużej nie mogli wytrzymać. Indyanie bronili wprawdzie swego „terytoryum", które rząd stanowy Teksasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszymi traktatami; ale cóż to mogło obchodzić kolonistów z Berlina, Gruendenau i Harmonii? Pewnem jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, wodę i powietrze, ale natomiast wnosili cywilizacyę; czerwonoskórzy zaś okazywali im wdzięczność na swój sposób, to jest, zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo. Osadnicy więc z Berlina, Gruendenau i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset i wezwawszy do pomocy meksykanów

z La Ora, napadli na uśpioną osadę. Chiavatta została spalona, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięto. Ocalały tylko małe oddziałki wojowników, które w tym czasie wyszły na łowy. Z samego miasta nie ocalił się nikt, głównie dlatego, że miasto leżało w widłach rzeki, która, jak zwykle na wiosnę, rozlawszy, otaczała osadę nieprzebytą tonią wòd. Ale to samo widlaste położenie, które zgubiło indyan, podobało się niemcom. Z wideł źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Gruendenau i Harmonii rozpoczęła się emigracya do wideł, w których też w mgnieniu oka na miejscu dzikiej Chiavatty, powstała ucywilizowana Antylopa, w pięć lat liczyła ona tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony wideł kopalnię żywego sreba, którego eksploatacya podwoiła liczbę mieszkańców. W siòdmym roku z mocy prawa Lynch powieszono na placu miejskim dziewiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Wężów, schwytanych w pobliskim lesie Umarłych — i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa Tagblatty i jedna Montagsrevue. Kolej żelazna łączyła się z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia-Gasse wznosiły się trzy szkoły, z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Wężów, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt „O prawach narodów".

Bogatsi mieszkańcy przebąkiwali o potrzebie założenia uniwersytetu do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom dobrze się działo. Handel żywem srebrem, pomarańczami, jęczmieniem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi, rządni, pracowici, systematyczni, otyli. Ktoby w późniejszych czasach odwiedził już kilkonasto-

tysieczną Antylopę, tenby w bogatych kupcach miejscowych nie poznał tych niemiłosiernych wojowników, którzy piętnaście lat temu spalili Chiavattę. Dzień schodził im po sklepach, warsztatach, biurach, wieczory spędzali w piwiarni „pod Złotym Słońcem” przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i gardłowych tych: mahlzeit! mahlzeit! tych flegmatycznych: Nun ja wissen Sie Herr Mueller, ist das aber moeglich? tych dźwięków kufli, szumu piwa, tych plusków przelanej piany na podłogę, widząc ten spokój, powolność, patrząc na te filisterskie, tłuszczem zalane twarze, na te rybie oczy, możnaby mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie lub w Monachium, nie zaś na zgliszczach Chiavatty. Ale w mieście wszystko już było „ganz gemuetlich” i o zgliszczach nikt nie myślał. Tego wieczora ludność spieszyła oto do cyrku, raz dlatego, że po twardej pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą jak przyjemną, powtóre, że mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrki nie przyjeżdżają do lada mieściny, przybycie więc trupy hon. M. Dean'a stwierdziło poniekąd wielkość i znaczenie Antylopy. Była jednak i trzecia, a może najważniejsza przyczyna ogólnej ciekawości.

Oto Nr. 2gi programu mówił co następuje: „Spacer na drucie zawieszonym na piętnaście stóp nad ziemią, (z towarzyszeniem muzyki) wykona słynny gimnastyk Czerwony Sęp, sachem (wódz) Czarnych Wężów, ostatni potomek królów pokolenia i ostatni z pokolenia: 1) spacer, 2) Skoki Antylopy, 3) Taniec i pieśń śmierci. Jeżeli gdzie, to w Antylopie ten „sachem” mógł obudzać najwyższe zajęcie. Hon. M. Dean opowiadał pod „Złotem Słońcem”, iż przed piętnastu laty w przejeździe do Santa Fe, znalazł na Planos de Tornado umierającego starego indyanina z pięcioletnmei chłopakiem Stary umarł istotnie z ran i wycieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział, iż młody chłopiec był synem zabitego „sachema” Czarnych Wężów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą hon. M. Dean dopiero pod „Złotym Słońcem" dowiedział się, że Antylopa była niegdyś Chiavattą—i że słynny linochód będzie się popisywał na grobach ojców. Wiadomość ta doprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem teraz na pewno liczyć na „great attraction" byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy cisnęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom, i synom, którzy ani razu w życiu nie widzieli indyanina, pokazać ostatniego z Czarnych Wężów i powiedzieć: „patrzcie, oto takich w pień wyrznęliśmy przed laty piętnastu". Ach Herr-Jeh! Miło jest usłyszeć taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchem, jak i małego Fryca. W całem też mieście powtarzano bez ustanku: sachem! sachem!

Dzieci od rana zaglądały przez szpary w deskach z twarzami rozciekawionemi i przerażonemi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczem duchem, wracając ze szkoły maszerowali groźnie sami nie wiedząc dlaczego to robią. Godzina ósma wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiaździsta. Powiew z za miasta przynosi zapachy gajów pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem słodu. W cyrku bije łuna światła. Ogromne smolne pochodnie zatknięte przed główną bramą palą się i kopcą. Powiew chwieje pióropuszami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kontury budowli. Jestto świeżo wzniesiona szopa drewniana, okrągła, ze spiczastym dachem i z gwiaździstą amerykańską chorągwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły się dostać, lub nie miały za co kupić biletów, przypatrują się wozom trupy, a głównie płóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych, na której wymalowana jest bitwa białych z czerwonoskóremi. W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświecone wnętrze bufetu z setkami kufli szklannych na stole. Ale oto ściągają zasłonę na dobre i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami

poczynają tętnić krokami ludzkiemi i wkrótce ciemna ruchliwa masa, pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdołano przeprowadzić doń rur gazowych, to natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp naftowych oblewa arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach widać opasłe, przychylone w tył dla folgi podbródkom głowy piwoszów, młode twarze kobiece i śliczne zdziwione buzie dziecinne, których oczy omal nie wychodzą na wierzch z ciekawości. Zresztę wszyscy widzowie mają miny ciekawe, zadowolnione i głupie, jak zwykle publiczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów przerywanych okrzykami frisch wasser! frisch bier! wszyscy z niecierpliwością oczekują zaczęcia. Nakoniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześciu mastalerzy w palonych butach i staje w dwóch szeregach przy wejściu z areny do stajen. Przez te szeregi wpada rozhukany, koń bez uzdy i siodła, a na nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jest-to tancerka Lina. Rozpoczynają się harce przy odgłosie muzyki. Lina jest tak piękna; że młoda Mathilde córka piwowara z Opunciagasse zaniepokojona jej widokiem, pochyla się do ucha młodego grosernika Flosa z tejże ulicy i pyta z cicha czy ją kocha jeszcze. Tymczasem koń galopuje i oddycha jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tancerką wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica; brawa się sypią. Co za przepyszne przedstawienie! Ale Nr. 1 mija prędko. Nadchodzi 2. Wyraz sachem! sachem! przebiega z ust do ust między widzami. Na błaznów bijących się ciągle po twarzach nikt już nie zważa. Wśród ich małpich ruchów mastalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp drewniane kozły i stawiają po obu stronach areny. Muzyka przestaje grać Yankee Doolle a gra posępną aryę Komandora z Don-Juana, zaciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego bengalskiego światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę. W tym to blasku ukaże się straszliwy sachem, ostatni

z Czarnych Wężów. Ale cóż to? wchodzi nie sachem, jeno sam dyrektor trupy hon. M. Dean. Kłania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić „łaskawych i szanownych gentlemanów, oraz piękne i niemniej szanowne ladies o nadzwyczaj spokojne zachowanie się, niedawanie brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i dzikszy niż zwykle". Słowa te sprawiają niemałe wrażenie —i dziwna rzecz, ciż sami honoratiores Antylopy, którzy przed piętnastu laty wycięli Chiavattę, doznają teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed chwilą, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się, że siedzą tak blisko, tuż koło parapetu, zkąd tak dobrze można wszystko widzieć, a teraz spoglądają z pewnem utęsknieniem na górne sfery cyrkowe i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tem duszniej.

Ale ten sachem czyżby jeszcze pamiętał? przecież wychował się od małych lat w trupie hon. M. Dean'a, złożonej przeważnie z niemców. Czyżby jeszcze nie zapomniał? Wydawało się to nieprawdopodobnem. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania oklasków musiały wywrzeć swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni niemcy, także są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny i nie myślą o niej więcej, niż na to business pozwala. Przedewszystkiem trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać tak dobrze każdy filister jak ostatni z Czarnych Wężów.

Rozmyślania te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach — a na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie sachem. Słychać krótki pomruk ciżby: to on! to on! — i potem cisza. Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu palą ciągle. Wszystkie spojrzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indyanin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzono. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów — oznaka wodza — pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przy-

pomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orła, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy prawdziwie indyjskie, spokojne, niby obojętne — złowrogie. Wodzi on niemi po zgromadzeniu, jakby chciał sobie upatrzyć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głów. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topór i nóż do skalpowania, w ręku zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwytania równowagi, podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. Herr Gott! oto okrzyk Czarnych Wężów. Ci którzy wycinali Chiavattę pamiętają dobrze te straszne wycie — i co dziwniejsza, ci, którzy przed piętnastu laty nie ulękli się tysiąca tak wyjących wojowników, począ się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ułagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczuł munsztuk — namowa skutkuje, bo po chwili sachem kołysze się już na drucie. Zapatrzony w żyrandol naftowy postępuje naprzód. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy indyanin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają, jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się! — pada! — nie! Krótkie, urwane brawo zrywa się jak wicher i milknie. Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku utkwionym w lampy naftowe błyszczy jakieś straszne światło. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie przerywa. Tymczasem sachem zbliża się do drugiego końca drutu — staje — i niespodzianie z ust jego wyrywa się pieśń wojenna.

Szczególna rzecz! Wódz śpiewa po niemiecku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał języka Czarnych Wężów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmaga się i potężnieje. Jestto pół śpiew, pół jakieś wołanie niezmiernie żałobne, dzikie i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słychać słowa następujące. „Po wielkich deszczach, co rok pięciuset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny, lub na wielkie łowy wiosenne”. Gdy wracali z wojny zdobiły ich skalpy, gdy wracali z łowów przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć wielkiego ducha.

„Chiavatta była szczęśliwa!” Niewiasty pracowały w wigwamach, dzieci wyrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do srebrnych gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiaviatty byli szlachetnymi mężami. Chiavatta była potężna. Aż przyszły blade twarze z za mórz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Bladzi wojownicy nie pokonali Czarnych Wężów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale i noże ich zbroczyły się w piersiach uśpionych mężów, niewiast i dzieci”.

„I oto niema Chiavaty, bo na jej miejsce biali wznieśli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołałą o zemstę”. Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz kołysząc się na tym drucie wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty, unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza, wódz wył dalej. „Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. Było ono małe i słabe, ale przysięgło duchowi ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężów, niewiast, dzieci — pożogę, krew!..” Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku poczęły się zrywać szmery podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęło się do głów Co zrobi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? — co — sam jeden? zostać, czy uciekać? czy się bronić? — i jak? — Was ist das? was ist das? rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakołysał się silniej, wskoczył na drewniany kozieł, stojący

pod żyrandolem i wzniósł drąg. Straszna myśl przeleciała jak błyskawice przez głowy: Rozbije świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Ale cóżto? Z areny wołają stój! stój!.. Wodza niema! zeskoczył? znikł w wyjściu. Nie spalił cyrku? Gdzież się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziajany, zmęczony, straszny. W ręku niesie blaszaną miskę i wyciągając ją ku widzom mówi błagalnym głosem: „Was gefaellig fuer den letzten der Schwarzen Schlangen!..Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora? efekt? Sypią się pół dolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów — w Antylopie na zgliszczach Chiavatty. Ludzie mają serce.

Po przedstawieniu sachem pił piwo i jadł knedle „pod Złotem Słońcem". Otoczenie wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki . . .

KONIEC.

DO SOKOŁÓW.

Do lotu, bracia Sokoły!
Rozwińcie skrzydlate hufce,
Gdzie brak jutrzenki wesoły,
Tam dążcie w swojej wędrówce,
Do ciał i duchów rozkwitu,
Do pełni ludzkiego bytu!

Zatoczcie nad naszą ziemią
Słonecznych polotów kręgi,
I budźcie tych którzy drzemią,
Hasłem wskrzeszonej potęgi,
I tchnijcie ożywcze moce
W smutne dziedzictwo sieroce.

Z uczuciem szlachetnej dumy
Prowadźcie, o Przewodnicy!
Zwątlone, skarlałe tłumy
Do czystej życia krynicy,
Aby się rzesze napiły
Z źródeł młodości i siły.

Niech potężnieją ramiona!
Niech się rozrasta szeroko
Pierś silną wolą natchniona,
A męztwem zapłonie oko,
Cielesna niemoc niech znika,
Z nią nędzny duch niewolnika

Z fizycznej siły wykwita
Sił wyższych czynność społeczna,
I mądrość w środki obfita,
I miłość ludzi słoneczna,
I wielkich poświęceń zdolność
Za wiarę, ojczyznę, wolność.

Więc naprzód wierna drużyno,
W świetlanym kąp się błękicie,
A dla tych co marnie giną
Chcąc nowe wywalczyć życie,
Z niezłomną wolą postanów
Przemienić karły w tytanów!

Z Ojczyzny.

|| Nauczyciel gimnazyum V w Warszawie, Orłow, przy wykładzie uczniom klasy szóstej o pomniku Minina i Pożarskiego, w Moskwie, dostrzegł, że uczniowie słuchają go bez należytej uwagi. „Widocznie niema między wami Rosyan" powiedział, na co jeden z uczniów odpowiedział: „dzięki Bogu niema". Za ten mimowolny wykrzyknik ucznia wydalono.

|| W Galicyi pozyskają wkrótce oświetlenie elektryczne: Rzeszów, Stanisławów, Tarnopol i Podgórze.

|| We Lwowie organizuje się stronnictwo pod nazwą „Młoda Polska". Program swój wzoruje na czeskiem stronnictwie Młodoczechów, którego działania i wpływy są potężne i korzystne dla kraju.

|| Żnin. W Sarbinowie zginął straszną śmiercią syn właściciela wiatraka Szybatki. Wkręcił się on w około wiatraka i tak został poszarpany i potłuczony, że na miejscu ducha wyzionął.

|| Najprzew. ks. Arcybiskup Stablewski w końcu kwietnia rb. rozpocznie podróż wizytacyjną po parafiach katolickich w Prusach zachodnich. Podróż ta potrwa przez maj i czerwiec.

|| We wsi Ostrowie pod Łopiennem spaliła się w nocy z soboty na niedzielę stodoła, napełniona lnem, którego tam znajdowało się za 30 tysięcy marek. Przypuszczają, ze ogień podłożony był ze zemsty, gdy już raz po żniwach niegodziwcy jacyś ogień podkładali, chociaż wtenczas zdołano go stłumić w zarodku.

|| Z Poznańskiego piszą: Właściciel dóbr Grzybowa w pow. witkowskim p. Leon Błociszewski kupił od Niemca p. v. Koeltsch dobra rycerskie Słomczyce za 220,009 mrk. Jest to już trzecia wieś, którą p. Błociszewski w ciągu roku wyrwał z rąk cudzoziemców, poprzednio kupił bowiem Gwozdowo we wrzesińskim i Osiniec w gnieźnieńskim pow. Pan Leon Błociszewski daje więc piękny przykład polskiej szlachcie, którahy go jak najliczniej naśladowała!

KORESPONDENCJE.

Szanowny Panie Redaktorze!

„Gazeta Polska" ostrzega mnie, żebym nie wylewał swą żółć na to pismo i straszy zarazem, że wyjawi moje sprawy w Tombs. Strachy na lachy. Sprawa ta znaną polonii. Ująłem się za litwinem grynhorem, na którego kilku Włochów napadło, Litwina pokaleczonego odwieźli do szpitala, nas wszystkich aresztowano. Ja po paru dniach zostałem wypuszczony na wolność, a Włosi pod sąd oddani!

Czegoż więc straszyć. O oszustwo nie byłem nigdy nawet w posądzeniu. A czy to można też powiedzieć o panach z Gazety?

A że żółć wylewam na Gazetę to trudno. Tak mi sumienie nakazuje. Gazeta stanowczo szkodzi imieniowi polskiemu. Gazeta krzywdzi pracowników przez Kornobisa zatrudnionych i napada na znanych nam z zacności obywateli. Nawet w polityce Kornobis jest sprzedajny bo potajemnie dla demokratów wysyłał do Pensylvanii Gazetę choć u republikanów był naprzód zapłacony. Wstyd Jenerale!

Ostrzegam także przed managerem Kułakowskim, który po prywatnych domach chodził i dowiadywał się o szczegółach mego aresztowania aby zrobić użytek w Gazecie. Czy to nie szpiclowstwo? W tym wypadku nic nie mógł się dowiedzieć, ale on już ma żyłkę szpiclowską i trza go się strzedz.

Wojtaszek.

Z KRAINY ŚMIECHU.

Aby praktyka.

Matka: — Jasiu czy był doktor?

Jaś: — Był, proszę mamy, wziął mię za puls, obejrzał język, zostawił receptę i powiedział, że przyjdzie jutro.

Matka: — Przecież ja go prosiłam nie do ciebie, tylko do Zosi.

***

— Kiedyś się przyznał, Leosz, że wziąłeś mi z biurka dziesięć rubli, to już ci je daruję.

— No, to mi tatko winien dziewięć, bo wziąłem tylko rubla a na zapas przyznałem się do dziesięciu.

Ogłoszenie w pewej „Gazetce" brzmi jak następuje:

POD ORŁEM I POGONIĄ
KATOLICKI
POLSKO-LITEWSKI
BANK
Naszych rodaków
H. ROSENBAUM I H. SAPERSTEIN
i t. d. i t. d.

O katolicyzmie „naszych rodaków" nie wątpimy, gdyż za to zaręcza wiarogodna gazetka — chcielibyśmy jednak wiedzieć, który z nich jest polakiem i pieczętuje się Orłem, a który litwinem i Pogoń za swój klejnot uważa? Dla konsekwencyi i radzibyśmy dopuścić trzeciego wspólnika, Wielmożnego Adolpha Lewinskyego naprzyklad, któryby z równą godnością Ruś reprezentował. Sympatyczna firma byłaby wtedy uosobieniem jednej, nierozdzielnej Polski!

Nie bajka.

Spadł z drzewa topoli pączek
I płynie potoku pianą,
Na nim sieć osnuł pająęczek,
Czycha na muszkę schwytaną.

Próżno się z więzów wyrywa
I targa sprężyste nici,
Gdy się wysunie wpół żywa,
Pająk w objęcia ją chwyci.

Zwolna ją dusi i gnębi,
Zanim śmiertelny cios zada.
A pączek płynie ku głębi,
Gdzie nurt potoku w dół spada.

I wkrótce po muszki klęsce,
Gdy się już więcej nie broni,
Z ofiarą razem zwycięzcę
Wir wodny pogrążył w toni.